

Witold J. WILCZYŃSKI

Polskie Towarzystwo Geopolityczne

REWOLUCJA BOLSZEWICKA W PERSPEKTYWIE GEOPOLITYCZNEJ. CZĘŚĆ PIERWSZA: SIEDEM LAT W CARSKIEJ ARMII

W bieżącym roku minie sto lat od rewolucji bolszewickiej, która przyniosła radykalną zmianę sytuacji społeczno-kulturalnej i politycznej na rozległych obszarach Rusi, Syberii, Turkiestanu i krajów przyległych. Odcisnęła ona ponadto silne piętno na sytuacji geopolitycznej w skali globalnej, rzucając w ciąg kolejnych dekad złowrogi cień na wiele, nawet bardzo oddalonych państw. Polska należy do krajów, które skutki tego tragicznego paroksyzmu rosyjskich dziejów odczuły w sposób najbardziej bezpośredni i bolesny.

Konsekwencje rewolucji bolszewickiej, o których mówią podręczniki, były efektem polityki prowadzonej przez komunistycznych przywódców, ale także wynikały z sytuacji społeczno-politycznej w Rosji pod koniec panowania dynastii Romanowów. Decyzje Lenina należy rozumieć w kontekście historycznym i społecznym tamtego czasu. Sam wybuch jak i przebieg rewolucji wynikał przecież z sytuacji panującej w carskiej Rosji, z materialnych warunków egzystencji, zasobności i rozwarstwienia społeczeństwa, jak i z jego duchowych cech.

Wspomniane warunki i cechy rosyjskiego społeczeństwa były wielokrotnie opisywane i komentowane w literaturze historycznej i w podręcznikach. Informacje tam przytaczane stają się udokumentowanymi faktami historycznymi wówczas, gdy znajdują potwierdzenie w relacjach świadków i uczestników wydarzeń sprzed wieku. Autorzy tych relacji dawno już odeszli. Na szczęście byli wśród nich tacy, którzy zdążyli swoje przeżycia i doświadczenia utrwalić na papierze. Jednym z nich jest Władysław Wilczyński (1884-1969), urodzony jako obywatel carskiego imperium, kanonier I rotacji artylerii fortecznej w Wyborgu od roku 1911 do rewolucji. Nadmorska twierdza Wyborg zlokalizowana była na terytorium anektowanej Finlandii (oryginalna nazwa *Viiipuri*), na północnym wybrzeżu Zatoki Fińskiej, w odległości ponad 100 km na północny-zachód od Petersburga. Jej zadaniem była ochrona portu petersburskiego i Kronsztadu przed zagrożeniem ze strony obcych jednostek nadpływających z Bałtyku.

Pamiętniki zatytułowane „Ze wspomnień przeszłości”, Władysław Wilczyński spisywał ręcznie w ostatniej dekadzie swojego bogatego w wydarzenia życia. Nie były one nigdy publikowane, natomiast ich odczytanie i udostępnienie w wersji elektronicznej wzięła na siebie w ostatnich latach jedna z wnuczek autora, Anna Biały z Reska, która jest w posiadaniu oryginału rękopisu. Całość utworu składa się z czterech części omawiających kolejne etapy życia: dzieciństwo i okres młodzieńczy przeżyte głównie na południowym Mazowszu, głównie w okolicach Drzewicy, Nowego Miasta nad Pilicą, oraz Warszawy (część I), pobyt na emigracji w Galicji (Kraków, Zakopane), Południowym Tyrolu (Bozen, ob. Bolzano) i Szwajcarii, głównie w kantonie Berno i w Davos (część II), służbę w armii rosyjskiej w fińskim Wyborgu i na zesłaniu na północy Rosji (część III), oraz pracę w niepodległej Polsce w okresie międzywojennym (część IV). Nieliczne i wysoko wyselekcjonowane treści w końcowej części wspomnień dotyczą przeżyć z okresu okupacji niemieckiej, zaś czasy PRL skwitowane są dwoma zdaniem, co wynika z ostrożności, jaka była niezbędna w warunkach życia w systemie totalitarnym. Poniżej zamieszczone są obszernie fragmenty trzeciej części „Ze wspomnień przeszłości” Władysława Wilczyńskiego, dokumentujące realia panujące w Rosji w latach poprzedzających rewolucję.

Władysław Wilczyński
Ze wspomnień przeszłości (fragmenty niepublikowanych pamiętników)

Wyborg I

We wrześniu 1911 roku postanowiłem cichaczem wpaść do domu na kilka dni (po siedmiu latach pobytu na emigracji, przyp. red.). Udało mi się szczęśliwie przybyć do domu wieczorem, a rano, „jak na zamówienie” przyszedł ruski policjant, który mnie aresztował i tegoż dnia pod strażą dostarczył władzom powiatowym w Opocznie. Po przeprowadzeniu dochodzenia, komisja poborowa uznała mnie za zdolnego do służby wojskowej, więc zostałem odesłany do Wojennego Naczelnika w Radomiu, a ten z kolei postanowił wysłać mnie następnego dnia do Wyborga w Finlandii, do artylerii fortecznej [...]. Rano drugiego dnia udałem się do kancelarii, gdzie mi wręczono sporej objętości pakiet, kilkadziesiąt kopiejek gotówki, kwit na bilet kolejowy i oznajmiono, że pojedę sam, bez przewodnika. To mnie mocno zdziwiło, boć wiedziałem że pojedynczych poborowych wyprawia się zwykle pod konwojem żołnierza. Tymczasem sam miałem się sobą opiekować, aby dojść do oznaczonego celu jako 27-letni rekrut. Idąc do stacji w Radomiu myślałem, czy nie lepiej byłoby jechać na zachód, lecz rozsądek zwyciężył: wybrałem trzy lata służby, by być potem wolnym, niż ciągle ukrywać się przed władzami.

Koleją z Radomia do Wilna jechałem sam, nie szukając znajomości. Dopiero w Wilnie wszedł do przedziału starszy pan, który zaczął ze mną rozmowę, po czym poprosił mnie, abym mu przeczytał gazetę, co chętnie uczyniłem. Opowiedział, że jedzie do Petersburga do syna, który sprawuje

tam jakiś urząd, więc już w wagonie zaprosił mnie na herbatę do swojego syna, skąd jest już niedaleko na dworzec fiński.

Po przybyciu do Petersburga mój protektor istotnie wynajął dorożkę, którą udaliśmy się do domu syna, jadąc brudnymi ulicami, na których błoto bryzgało spod kół na wszystkie strony, także na nas samych. Jakaż okropna różnica była między Wiedniem, ba nawet Krakowem, pod względem czystości, a Petersburgiem. Nigdy nie wyobrażałem sobie aby w stolicy carów panował taki brud. Po przyjeździe na miejsce musieliśmy się długo czyścić i myć, aby wyglądać jak ludzie. Po sutym poczęstunku i herbacie pożegnałem gościnnych ludzi i udałem się w towarzystwie dwojga dzieci, posłanych przez uprzejmych rodziców, aby mnie odprowadzili na fiński wóz. 129 km jechałem już sam, ciesząc się że mam sporo czasu wolnego, więc pomyślałem, że w Wyborgu zahulam troszeczkę. Tymczasem im dalej od Petersburga tym mniej słyszę nawet rosyjskiej mowy, a w zamian coś zupełnie mi nieznanego.

W Wyborgu stałem się już całkiem bezradny: o ile ktoś zrozumiał mnie na migi, odpowiadał po fińsku i szedł dalej. Łaziłem po mieście jak po nieznanym lesie, na siłę dogadując się rękoma, aby mi dano coś do jedzenia, po czym udałem się na poszukiwanie mojej artylerii. Istotnie po przejściu dużego mostu ujrzałem szereg armat ustawionych w stronę miasta a za nimi dwa duże bloki, w których domyślałem się koszar. Żeby tam dojść należało udać się na schody wiodące z ulicy na wyżynę co najmniej 30-metrową, gdzie stały owe armaty. Gdy wszedłem do połowy po schodach do pewnej szerszej przestrzeni, spotkałem oficera, który schodził na dół. Zwróciłem się do niego z prośbą o wskazanie mi miejsca gdzie mam się zamusztrować jako rekrut. Ponieważ nie umiałem dużo po rosyjsku, przemówiłem po niemiecku, na co oficer kazał mi iść za sobą. Znaleźliśmy się na owym moście, z którego szła odnoga małego mostu do starożytnego zamku, u wrót którego stał żandarm. Oficer kazał mu zaprowadzić mnie do sztabu, a sam poszedł w swoją stronę ze słowami Auf wiedersehen. Od tego momentu pożegnałem złotą wolność na 7 z górą lat.

Urzednicy sztabowi wzięli ode mnie pakiet przywieziony z Radomia przejrzel go dokładnie, wypyтали mnie o to i owo, zapisali nazwisko, imię, wiek itp., a następnie oznajmili mi, że zostałem przydzielony do I rotacji fortecznej artylerii. W końcu przywołali żołnierza, który poprowadził mnie do pułkowego szpitala na 3 dni pod obserwację lekarza. W czasie tych trzech dni zdążyłem poznać paru rodaków żołnierzy, którzy udawali chorych. Na wiadomość, że jestem przeznaczony do I rotacji, jednogłośnie dali mi przyjacielską radę, abym lepiej skoczył do zatoki, jako że w I rotacji prawie wszyscy żołdaci idą pod sąd, a potem jeśli nie w aresztanckie rotacje, to co najmniej w dyscyplinarny batalion, a stamtąd łatwo można trafić do katorgi. Przyznam się, że przestraszyłem się trochę, lecz nie miałem chęci skakać do wody nie skosztowawszy najpierw owego piekielka. Po skończonych 3 dniach bezcelowego leżenia przybył żołdat i zapytał, kto tu Wilczyński? Po ujawnieniu się, zwrócił się do mnie słowami: „no, ubieraj się do rotacji”. Po 10 minutach znalazłem się w koszarach wśród gromady żołnierzy. Gdy mnie przeprowadzono do sztabu, okazało się, że komandirem rotacji jest kapitan Bremke. Wymienił słowa przywitania, pytał o drobiazgi, po czym kazał mi pokazać mój ręczny pakuneczek. Przejrzał książki, w których złożył podpisy

na pierwszych stronicach wyjaśniając mi, że mogę posiadać książki, lecz żeby on każdą widział i podpisał, a bez tego nie wolno posiadać nawet elementarza. Rozmowa toczyła się po niemiecku i rosyjsku w obecności feldfebla, plutonowego i selekcyjnego. Ci trzej panowie czuli się zupełnie głupio, słysząc swojego dowódcę mówiącego obcym dla nich językiem, a już kompletnie zbaranieli gdy ponownie rzekł do mnie po niemiecku i to samo powtórzył po rosyjsku: „jeżeli będziesz miał taką potrzebę, kiedy będę tu w rocie, nie pytaj nikogo, ani feldfebla o pozwolenie, a zwracaj się wprost do mnie”. To stwierdzenie pana kapitana było czymś w rodzaju pewnej przegrody między mną a nimi. W ich pojęciu uchodziłem za kogoś w rodzaju kuzyna pana kapitana, boć takiego przywileju w carskiej armii prawie nikt nie dostąpił. Cztery miesiące żyłem w koszarach nie jako żołdat, lecz jako gość w cywilnym własnym ubraniu, mimo że dano mi osobistego nauczyciela, który robił mi wykłady teoretyczne o służbie wojskowej, a w pewne dni chodziliśmy do armat, przy których zaznajamiał mnie z każdą jej częścią i przeznaczeniem, co też dotyczyło broni ręcznej. Gdyby nie nazwy w rosyjskim języku to cała ta nauka mogła się skończyć w 2-3 dni, lecz nazwy poszczególnych części trudniej przyswajałem sobie, więc z tej racji powtórzenia trwały aż do zapamiętania każdej najdrobniejszej części. Przez cały czas tych szkoleń zasypywałem mego mentora pytaniami i o inne rzeczy, nienależące do mojej edukacji. Przy tej okazji dowiedziałem się, że twierdza Wyborg posiada działa obronne produkcji Kruppa z 1871 roku, połowe trzy-calowe, a innych dalekosiężnych dział było niewiele, a jeżeli już, to na wyspie przed Wyborgiem, gdzie stacjonowała IV rota. W dwa miesiące czytałem już ustawy służby garnizonowej, służby polowej i inne rzeczy, które żołnierz powinien znać. Wychodziłem z założenia że aby przetrwać w carskiej armii trzeba się uczyć do tego stopnia, aby dureń nie miał się czego czepić. Oszczędziło mi to dużo nieprzyjemności, jakie mieli inni koledzy, którzy uczyć się nie chcieli.

Porządek wewnętrzny wojskowy był taki: godz. 6 pobudka, do godz. 7 mycie, czyszczenie itp., godz. 7 śniadanie, od 8 zajęcia służbowe i inne roboty do 12, potem obiad do 14, następnie zajęcia do 16 a czasem do 17, kolacja o 18 i wolne do capstrzyku o 21. Rano i wieczorem zbiorowa modlitwa z odśpiewaniem hymnu „Boże cara chroń”.

Czasu marnowało się więc bardzo dużo, gdyż do czytania było jedno jedyne pismo tygodniowe „Soldackoje czitanje”. Innych pism a i wypożyczalni książek nie było zupełnie. Polaków było po kilkunastu w każdej rocie, lecz nie wolno było mówić po polsku, chyba że byliśmy jeden na jeden. Większość naszych chłopaków to analfabeci, więc dużo miałem zajęcia przy czytaniu otrzymywanych listów i pisania odpowiedzi. To mi dużo pomagało aby się nie nudzić, co było nieodłącznym udziałem większości. Z łaski pana kapitana nie korzystałem, gdyż nie miałem potrzeby zwracać się o pomoc do niego. Brednie jakie głosili mi koledzy w szpitalu na temat I roty nie znalazły potwierdzenia w życiu codziennym, a że komandir był może wymagający, to tylko dla dobra każdego z nas. Bo co to znaczy, aby żołnierz był brudasem i wszarzem? Miałem sąsiada który spał obok mnie – wszarż okropny, nigdy nie byłem wolny od jego wszy. Użyłem chuligańskiego sposobu aby go zmusić do przeniesienia na inne miejsce, a to mu przysługiwało, jako że starszy był rocznik no i ruski człowiek. Pewnego

wieczoru położyłem się wcześniej spać niż on, więc kiedy się położył ja już chrapałem na całego, chociaż nie spałem. Światło przygaszone do połowy, cicho w koszarach, więc kiedy wymiarkowałem że Wania usypia, wymierzyłem mu silny „udar” ręką w twarz. Zerwał się, zawołał dyżurnego skarżąc się, że go uderzyłem, lecz obaj słyszą że śpię, a za czyn we śnie nie odpowiada się. Na drugą noc na miejscu Wani znalazł się Polak, więc prędko wykończyliśmy pozostałości po Wani zachowując możliwą czystość. Chyba najohydniejsze było samo jedzenie: jakoś strawy nie odpowiadała temu co człowiekowi należy. Samo podanie strawy było wprost wstrętne. Zardzewiałe cynowe kociołki wydawało się na czterech ludzi, którzy wspólnie czerpali z jednego naczynia. Przecież i były takie twarze, że wystarczyło z daleka popatrzeć aby odeszła ochota do jedzenia, a co czuli ci, którym dany osobnik przypadł na udziałowca. Pod tym względem żołdat był gorzej traktowany niż u dobrego gospodarza prosiak. Do rzadkości należały takie zespoły, co myły swoje łyżki i owe kociołki gorącą wodą. Inni łyżki myli językiem a kociołki zimną wodą, więc wołowy lub barani łój miesiącami oblegał ściany naczynia. Wszystko to było naprawdę niczym wobec stosunków, jakie miały miejsce do 1905 roku, kiedy to żołnierzy rozciągano na ławie i wymierzano kary cielesne. U nas za małe przewinienia wysyłano na jakieś roboty [...].

Każdy dzień pobytu między Rosjanami powiększał we mnie nienawiść do tych ludzi, a zwłaszcza do władz, które odbierały niemal boską cześć od poddanej ciemnoty. Uświadamianie naszych chłopców było moralnym obowiązkiem wszystkich rozumiejących przepaść, jaka dzieli Polaków od Rosji. Krew gotowała się w żyłach, gdy się słyszało wypowiedź Polaka – oficera, że car jest i polskim carem, czyli w skrócie „nasz cesarz”. Oficerowie ukrywali się ze swą nienawiścią do Polaków, lecz ci mniejsi bez żadnego skrepowania krzyczeli „ty polskaja morda, polskaja obrzina” i wiele innych epitetów anty-polskich. Toteż często z bezsilności płakałem, bo gdybym miał siłę utopiłbym całą tę bandę w zatoce.

W kilka zaledwie tygodni po zaprzysiężeniu, pewnej nocy około godziny 1 czuję silne szarpanie za ramię, a po dojściu do świadomości słyszę rozkaz: ubieraj się prędko. Zaraz poprowadzono mnie do kancelarii rotnej, gdzie czekał podpułkownik żandarmerii w asyście dwóch szeregowych żandarmów. Nie powiem, że strachu zupełnie nie odczuwałem, ale ciekawiła mnie niezmiernie cała ta komedia, gdyż naprawdę nie wyczuwałem czego mogą ode mnie chcieć. Po załatwieniu formalności wstępnych kazano umieścić mnie na odwachu pod ścisłym nadzorem, gdzie przebywałem przez 5 dni. Szóstego dnia około godziny 21 zabrano mnie dwóch żandarmów i poprowadzili do sztabu, gdzie znajdował się urząd żandarmerii. Po wejściu do dużej sali zobaczyłem żandarmów, pułkownika i podpułkownika, a z przybyłych ze mną jeden żołnierz został przy drzwiach wejściowych jako wartownik. Tu uprzytomniłem sobie, że to nie żarty, jeśli takie ubezpieczenia są poczynione, a prócz tego każdy ma przed sobą pistolet na stole tuż pod ręką. Jako żołnierz musiałem stać na baczność przez bite cztery godziny, gdyż znaleźli przy rewizji list od mojego byłego pracodawcy, pana Billa z Herzogenbuchsee (w szwajcarskim kantonie Berno, przyp. red.), w którym donosił mi, że na doroczne święto strzelców w Bernie są dobrze przygotowani i wyliczył ile posiada tysięcy roślin doniczkowych i ich gatunków. Nad tymi

zdaniem najmocniej się zastanawiali, gdyż według ich pojęcia kwiaty to zaszyfrowani uzbrojeni ludzie. Podczas prób wyjaśnień tego listu urosło 16 stron drobnego pisma, w którym umieszczono nawet piosenki dowcipne, o których zupełnie zapomniałem że je śpiewałem wśród naszych w wolnych chwilach. W końcu podano mi przez podpułkownika protokoły do podpisu, czego kategorycznie odmówiłem, motywując tym, że nie wiem co mam podpisać. Gdy to wypowiedziałem, pan pułkownik wściekł się formalnie, porwał pistolet ze stołu, przyparł do mnie przystawiając pistolet do skroni wołając "Jeśli tylko tym palcem poruszę już cię nie ma! Rozumiesz?" Odpowiedziałem spokojnie, że rozumiem, ale nie podpiszę tego, czego nie znam. Wtedy kazał podejść bliżej stołu, sam stanął obok i czytając powoli wskazywał palcem każdy wyraz, wymawiając dość wyraźnie. Rosyjski na tyle miałem już opanowany, że mogłem sprawdzić, że nie oszukiwał mnie. Podpisałem więc dokument, ale nowe piekło powstało z tego powodu, że podpisałem po polsku, a nie po rosyjsku. Mówiłem, że w Polsce jest mało szkół, więc nie miałem możliwości nauczzenia się ruskiego, a matka uczyła mnie po polsku. Ponieważ nie mogli mnie złamać groźbami, więc uciekli się do grzeczności i rozsądku, co przemówiło mi do przekonania i machnąłem drugi podpis ruski. Byłem jeszcze parokrotnie badany lecz już zupełnie w grzecznym tonie, co mniej raziło nerwy. W ciągu 11-miesięcznego pobytu na odwachu przestłuchiwali mnie różni generałowie z Petersburga, a do mnie dodali jeszcze pięciu żołnierzy, których nigdy wcześniej nie spotkałem. W żywność zaopatrywała nas nasza rota, a pop dostarczał nam książki do czytania. Jeden z naszych miał ze sobą mały modlitewnik, z którego nauczyłem kanoniera Ciężkowskiego z Radomia czytać, a na przemycanym papierze także pisać.

Petersburg, Bologoje, Nowogród Wielki

Wartę przy nas pełniły dwa pułki Strzelców Finlandzkich: nr 7 i 8. Gdy pilnował nas pułk 7, było u nas wielkie święto: poza wódką mogliśmy wszystko dostać, aby tylko kopiejki były, a te zdobywaliśmy za niezjedzony chleb, którego dostawaliśmy w nadmiernej ilości. Pułk 8 był gorszy więc musieliśmy cudów dokonywać, aby trochę papierosów ukryć tak, aby przy rewizji nie znaleźli, bo to równało się 24 godzinom niepalenia. Pomimo największych podstępów ze strony żandarmerii sprawa na koniec lata 1912 nie postąpiła ani kroku, toteż władze postanowiły 4 piechocińców ukarać dyscyplinarnie po 30 dni aresztu mieszanego i powrót do swych jednostek. Mnie i kolegę Bondra z II rotacji artylerii postanowiono przesłać do specjalnej jednostki karnej uformowanej w 1905 w siole Trubiczino, oddalonym od Nowogrodu o 8 wiorst. Jednostka ta nazywała się „Nieodzielno Uszczebnoj Batalion” i służyć miała reedukacji niepokornych.

Z Wyborga przesłani byliśmy pod konwojem do Petersburga, gdzie umieszczono nas w więzieniu wojskowym przesyłkowym, które okazało się prawdziwym więzieniem, o jakim dotychczas nie mieliśmy pojęcia. Prócz niedostatku pożywienia największą plagą było robactwo: wszy i pluskwy. Kilka dni byliśmy skazani na przebywanie w tym rynsztoku. W czasie naszej bytności w owym więzieniu zachorował następca tronu, mały Aleksy, więc postano nas do kaplicy więziennych, gdzie mieliśmy modlić się pod nadzorem popa, aby Bóg wrócił mu zdrowie. Tyle tego dnia padło pod adresem

następcy i jego ojca klątw i innych złorzeczeń, że to dziw, że mury wszystko to wytrzymały, nie grzebiąc pod gruzami modlących się. W piątym dniu wszystkich żołnierzy znajdujących się w tej ciurmie pod eskortą bagnetów odprowadzono na stację kolejową. Czekal tam pociąg składający się z okratowanych wagonów osobowych, którymi rozwożono ludzi po całym imperium. Nas, żołnierzy przeznaczonych do różnych batalionów karnych i łagrów, było kilkudziesięciu. Natomiast cywili to na pewno było ponad 2 tysiące. Całymi miesiącami gnili oni w tego rodzaju dziurach, czekając na okazję, przy której przesłani będą na miejsca odbywania kar. Cała ta biedota składała się z ludzi różnego wieku, od starców do dzieci. Nabór tego pospólstwa, włóczęgów i sierot, trwał całe miesiące, tak długo aż uzbiera się odpowiednia ilościowo grupa, dla której opłaci się organizować transport. Każdy taki zatrzymany dostawał dziennie 10 kopiejek za które musiał wyżyć, a jeśli nie starczyło, to zostawała jedynie śmierć głodowa. Owe 10 kopiejek przechodziły rzecz prosta przez ręce dozorców, którzy dostarczali pożywienia w postaci chleba i jakiejś lury, więc duża część z tej sumy pozostawała w kieszeniach służby więziennej. Żeby opisać ową mękę, jaką przechodzili poddani cara, trzeba być nie lada poetą lub innym artystą pióra, bo zwykły śmiertelnik nie jest w stanie przedstawić jej chociażby w najskromniejszym przybliżeniu. Robactwo wypełniało całe wagony tak, że nie było najmniejszej przestrzeni wolnej od tego plugastwa. Nas jako obrońców cara i ojczyzny puszczano luzem w ów tłum upiorów, abyśmy mogli podzielać i odczuwać tę najokropniejszą z nędz. My z kolegą krótko patrzyliśmy na to, gdyż po paru godzinach wysadzono nas na stacji Bołogoje. Stąd prowadziła wąskotorówka przez Starą Ruś do Nowogrodu. Zanim udaliśmy się na kolej musieliśmy noc spędzić w jakiejś izdebce niewielkiej, do której wpędzono tylu ludzi, że nie było miejsca dla wszystkich aby uklęknąć na jedno kolano, więc na przemian połowa stała, gdy drudzy klęczeli na kolanie. Wszy były tu zupełnie tolerowane: któż by zadawał sobie trud aby niszczyć zwierzątka wędrujące z ziemi po bucie, aby w nim założyć sobie siedlisko. Zdawało mi się wtedy, że wśród nas najszcześniejszymi byli ci, co mieli na sobie jakiś łachman z byłej marynarki co stanowiło część garderoby. Czy ludzie ci odczuwali swą mękę? Tak, lecz tylko niewielki procent. Reszta stała pełna humoru z zapalem do hazardu, bo wielu traciło swoje nędzne kopiejki grając w „orła” z towarzyszymi niedoli. Co podtrzymywało tych ludzi na duchu, jaka im przyświecała nadzieja poprawy bytu? Nigdy się tego dowiedzieć nie było mi dane. Nie mogłem też zrozumieć owej niesamowitej obojętności z jaką Rosjanie przyjmowali straszny los, z jakim przychodziło się im mierzyć.

Po przeżytej owej strasznej nocy przeprowadzono nas do wagonów aresztanckich. Mimo, że były one ruchomym więzieniem, gdzie jak wszędzie wszy stadami maszerowały po ławkach, ścianach i podłodze, wyglądały one w naszych oczach jak wyjątkowo przyzwoite apartamenty, w których można było wyprostować umęczone kości, odpocząć na ławkach, no i słodko zdrzemnąć się.

Ile wiorst dzieli Bołogoje z Nowogrodem nie pamiętam, dość że pod wieczór tego dnia wylądowaliśmy w „gubernialnej ciurmie” w Nowogrodzie, skąd pozostał ostatni etap do Trubiczyna jako końcowej stacji. Nim jednak przysłano po nas konwój, musieliśmy 36 godzin odsiedzieć między różnego

rodzaju przestępcami i poznać życie tego typu obywateli. Niedostatek pożywienia, brak jakiegokolwiek higieny - oto typowy obraz więzień w imperium rosyjskim. Pomimo tak marnej wegetacji, mieszkających w tego rodzaju zakładach nie opuszcza humor. Ludzie ci zawsze śpiewają, a opowiadaniom baśni nigdy nie ma końca. Pamiętam pewną zwrotkę pieśni więźnia w Nowogrodzie, która brzmi mniej więcej tak:

„Już nie zgnębi nas baranów,
Nasz Nikołka, nasz Romanow,
Hej, hej ruski naród
w ciurmie wiesijot żywijot”.

Niedaleki będę prawdy że druga rewolucja w Rosji oparła się wyłącznie na tego rodzaju elementach, przy pomocy których doszła do zwycięskiego końca. To nie byli zwykli ludzie, to był żywioł który niszczył wszystko na swej drodze, dla którego nic nie było drogim, któremu przyświecała jedyna idea - zemsta za całą przeszłość. Bez dopuszczenia tych mas do władzy, kto wie jaki obrót miałyby rewolucja 1917.

Trubiczyno

Po przybyciu do Trubiczyna nie śmieliśmy podejść bliżej przebywających tam kolegów, ciekawych kim są ich nowi towarzysze i za co zostali zesłani. Aby nie obdarować ich wszami prosiliśmy w łaźni nie żeby tylko się wymyć, lecz aby także wyczyścić ubrania i przywiezione luzem ciuchy w gorącej parze, boć nie było wtedy środków innych na wszy. Nasz batalion należał do 85 wyborskiego pułku piechoty, i był rozlokowany w trzech wsiach. Administracyjnie stanowiliśmy osobną jednostkę składającą się z 3 oficerów, 4 feldfebli, i nas 18 żołnierzy [...]. Broń ręczną posiadali tylko kadrowi, my zesańcy jej nie posiadaliśmy.

Ponieważ mieliśmy do dyspozycji ok. 40 dziesięcin pola i łąk, więc cała nasza służba sprowadzała się do pracy w polu, a także w warsztatach: krawieckim, szewskim i stolarskim. Za pracę płacono 2/3 wartości, a 1/3 szła na amortyzację narzędzi. Mnie przeznaczono do 2 dziesięcin warzywniaka, a prócz tego pozwolono mi sprowadzić aparat fotograficzny, więc miałem na cały rok określone zajęcie. Urządzono mi ciemnię nawet możliwą, więc w niej czułem się jak w domu, bo bez wyjątku nie było wolno nikomu wchodzić bez pukania i, co najważniejsze, wolno mi było przebywać tam nocą bez ograniczeń, z czego korzystali i inni koledzy radzi zejść z oczu obserwatorom. Roboty miałem sporo, bo fotografia w tych stronach była nowością, więc każdy rad był mieć własne zdjęcie. Panowie oficerowie nie płacili - jedynie zwracali koszt materiału, dla innych cena była obowiązkowa: 1 rubel 20 kopiejek za 6 sztuk zdjęć, z czego miałem na czysto 80 kopiejek zarobku. Najwięcej roboty dawały mi klasztory przeważnie żeńskie, których w okolicy było kilka, a każdy liczył do 150 kobiet w różnym wieku.

W warzywniku zrobiłem prawdziwą rewolucję, ponieważ zaprowadziłem płodozmian, którego tamtejsi nie znali, sadząc kapustę po kilka lat na jednym miejscu [...]. Już latem 1912 roku obsadziłem cały sztab kwiatami letnimi, które wyhodowałem w paczkach od pocisków, mając jeden

pokój do dyspozycji i całą masę czeredzi do bezwzględnej pomocy w razie potrzeby. Kara nasza polegała jedynie na tym, że nie wolno nam było oddalać się gdziekolwiek bez kadrowego, który stanowił konwój i był za nadzorowanego odpowiedzialny. Z czasem była to jedynie czysta formalność, gdyż kadra stała moralnie niżej do nas, a poszczególnych osobników należało upominać dla ich osobistego dobra.

Latem my zesłańcy niczym nie przypominaliśmy żołnierzy, nosząc duże chińskie kapelusze, chodząc boso i bez mundurów, a całą oznaką żołnierki były jedynie spodnie. Gdy się wychodziło do sztabu, to z konieczności należało włożyć odzież wojskową, za to w domu pal licho mundur. Na ogół nie było nam źle, gdyż grupa była nieliczna, więc zażyłość była większa i szczerza. Jedynie wyżsi przełożeni zachowywali pewną powagę, lecz i oni nie wytrzymywali całkowicie, aby od czasu do czasu nie zaprosić zesłańca na partię szachów lub prosić o dawanie lekcji małym dzieciom.

Z 18 zesłańców większość stanowili Polacy, Żydzi i na końcu Rosjanie, między którymi był jeden, który dziwił się że poczytują go za politycznego, a przecież ojciec ani dziad policjantami nie byli. Dla podtrzymania kultury sprowadzali nam parę egzemplarzy „Soldatskiego czytania” i coś jeszcze z wydawnictwa ludowego, a my od siebie czytaliśmy „Prawdę” i inne zabronione gazety, których nam dostarczała nasza kadra. Zarabiając w warsztatach mieliśmy ogromną przewagę ekonomiczną nad kadra, a ta z kolei potrzebowała więcej pieniędzy, co było wodą na nasz młyn. Poza tym, że nas zesłańców żadna służba nie krępowała, mieliśmy dużo wolnego czasu, który poświęciliśmy na utrzymywanie porządku w koszarach i na kuchni, do którego w końcu przywykli wszyscy mieszkańcy naszych koszar. Wolno nam było żądać z własnych jednostek nadobowiązkowej ilości prześcieradeł i innej bielizny, tak że wprowadziliśmy nową modę, aby koce na łóżkach były pokryte prześcieradłami, co w końcu stało się obowiązkiem każdego żołnierza. Gdy się weszło do koszar to zdawało się, że to jakiś odrębny zakład a nie koszary wojskowe, a dowódca zbierał uznanie od władz sanitarno-wojskowych.

W takim stanie na zesłaniu karnym przetrwaliśmy do wybuchu wojny w 1914 roku. Po otrzymaniu przez dowództwo rozkazu, aby zlikwidować batalion, cały dzień zdawaliśmy graty do 85 pułku, a swoje niepotrzebne na wojnie rzeczy pakowaliśmy do paczek aby je wysłać do rodzin. Po wykonaniu zadania i po czułym pożegnaniu (co znaczyło „na zawsze”), każdy wyjechał do własnej jednostki jako uleczony z dotychczasowej „niebezpieczności.” Po dobieciu się na kolej odczuwaliśmy w całości stan wojenny. Wszędzie tłok od chłopstwa, chaos, brak jakiegokolwiek porządku. Każdy działał na własną rękę. W Petersburgu jeszcze gorzej: tłumy publiczności manifestują na ulicach na czele z popami pod obrazami cerkiewnymi i pieśnią „Boże cara chroń”.

Wyborg II

Kolej finlandzka również dostała szata, że z trudem dobiliśmy do Wybarga, a ze stacji do swych rot. W kompanii zastałem jedynie znajomych zawodowców, a reszta to nowi, nieznani mi ludzie. Wszyscy są podzieleni na wiadome już czwórki, a ja takiej znaleźć nie mogłem, przez co nie miałem z

czego zjeść pierwszej kolacji, miejsce do spania z trudem się znalazło. Głodny przeleżałem do rana. Rano dostałem chleb, lecz herbaty i cukru nie posiadałem, ponieważ w Trubiczynie cukier i herbata były wspólne, więc na wyjazd nikt ze sobą tego nie zabrał. Musiałem więc poprzestać na kawałku chleba i czystej gotowanej wodzie, której mogłem zaczerpnąć własnym kubkiem. Po tym śniadaniu w liczbie 40 ludzi poszliśmy kilka wiorst do lasu na budowę platformy pod baterię 4 dział sześciocalowych wymierzonych na zatokę, na której spodziewano się okrętów niemieckich. Obiad nam przywieziono, łyżkę drewnianą miałem za cholewą lecz kociołka mi nie dano, więc poprzestałem na resztkach jakie pozostały, a wiele tego nie było. Pod koniec dnia przyjechał nasz porucznik, Polak Szyszkowski, który mnie poznał i zaczął rozmowę ubolewając nad tym, że niepotrzebnie mnie wywieziono do Trubiczyna. Ponieważ byłem piekielnie głodny więc dawałem cięte odpowiedzi, a nareszcie zapytałem go: „jeżeli doszłicie do świadomości, że zesłanie moje było niesłuszne to dlaczego nikt nie postarał się o naprawienie wyrządzonej mi krzywdy?” i dalej: „chociaż mi tam było bardzo dobrze, o wiele lepiej niż tu, z powodu bytności tam do końca życia będę nosił piętno zesańca, które będzie powodem opiekowania się mną żandarmerii, a przeto nie mogę mieszkać w kraju, więc jeśli przeżyję wojnę będę zmuszony wyemigrować za granicę”.

Ponieważ cała rozmowa odbywała się w obecności dużej grupy żołnierzy, wiedziałem że jako szeregowiec zbyt śmiało mówiłem do oficera, co w wojsku było niedozwolone. Przypuszczałem, że dostanę 5 dni ścisłego tj. chleb i wodę, lecz później okazało się gorzej. Po zakończeniu naszej rozmowy pan porucznik siadł na konia i odjechał, a my w szeregach na pieszo ruszyliśmy do koszar. Po przyjeździe zakręciłem się po wodę i chleb, aby zaspokoić głód. Zaledwie zorganizowałem pożywienie, podeszło ku mnie 3 ogniomistrzów i karabinierów i każą mi się zabierać. Nie była to pierwsza taka sytuacja w moim życiu, więc pewny byłem, że pójde do celi. Na moje pytanie nic nie odpowiadają, tylko jeden warknął „uwidzisz sam”. Po 20 minutach zostałem zamknięty w pokoju bez krat w oknach bez żadnej warty, co mnie nieco zdziwiło. Po kilku dniach przyszedł do mnie pewien kapitan artylerii i wypytał, o czym rozmawiałem z porucznikiem Szyszkowskim. Powtórzyłem przebieg rozmowy oraz powołałem się na 40 żołnierzy obecnych przy rozmowie. Teraz już przynajmniej znałem przyczynę aresztowania, lecz nie wiedziałem czym byłem obciążony. Po 12 i pół dniach zabrano mnie do koszar jako żołnierza, lecz coś nie było w porządku, bo bronni mi nie dają i coś mi się pewna morda za często wije przed oczami. Znacznie później dowiedziałem się, że porucznik Szyszkowski po powrocie konno do domu po pamiętnej rozmowie, zdażył napisać raport do swego i mego bezpośredniego dowódcy, że wykrył we mnie austriackiego szpiega i stało się to to drugiego dnia po wypowiedzeniu wojny Rosji przez Austrię. Dowódcą rotę był jeszcze stary znajomy kapitan Bremke, który dobrze znał porucznika Szyszkowskiego, więc owego raportu nie przestał drogą służbową do wyższego dowództwa, lecz pojechał osobiście i widocznie przedstawił sprawę jak należy. Przeto zamiast rozstrzelania za szpiegostwo, zarządono śledztwo i tylko dzięki temu wyrwałem się z rąk niechybnej śmierci. Około trzech miesięcy chodził z mną szpieg, którego nawet już znałem, a co mi zupełnie było obojętne. Komicznie wyglądała moja służba wartownicza.

Wysyłano mnie na wartę bez karabinu, który otrzymywałem od zastępowanego na posterunku kolegi [...].

Kilka dni później stałem na warcie przy bramie wjazdowej, a nasz Szyszko – tak nazwaliśmy go między sobą – odjeżdżał do domu. Kiedy mnie zauważył z karabinem w ręku, odwrócił się frontem ku mnie i śledził moje ruchy tak długo, aż zasłonił go las na zakręcie drogi. Od razu zrozumiałem że ma „boja”, aby go nie pukać, co mnie bardzo ucieszyło. Stan taki trwał zaledwie do następnego dnia, w którym przesłano mnie do tej części roty, którą bezpośrednio dowodził kapitan Bremke. Zajmowała ona były koszary, które nie mogły pomieścić wszystkich po mobilizacji. Mnie umieszczono jako przełożonego w osobnym pokoju z 14 rezerwistami, robotnikami fabryk petersburskich, którzy mało sobie robili z przepisów wojskowych. U nas była maleńka „republika” i mieliśmy swój wewnętrzny ład, którego nikt nie próbował zmieniać. W tym żywiole było mi wyśmienicie. Chłopaki dali się polubić, a oni mnie też przyjaźnie widzieli, gdyż wiekiem dorównywałem im, ale niechby się pokazał u nas młodzik pełniący służbę dyżurnego i coś chciał zarządzić, to na pewno 15 par butów poleciałoby w kierunku takiego łba. O 9 tej wieczorem obowiązowała cisza w koszarach i przyćmione światło. My zawsze gwarzyliśmy do 11-12 każdej nocy. Ze mnie zdjęli nadzór. Wydano mi to wszystko, co żołnierz mieć musiał i jakoś żyło się z dnia na dzień. Ustawa wojskowa opiewała, że w czasie wojny dyscyplina przybiera na ostrości a życie pokazało, że łżej służyć w czasie wojny za frontem niż w czasie spokoju.

W Wyborgu był mały kościółek, więc każdej niedzieli zbierało się grono chętnych pójścia na mszę. Tworzono grupy i dodawano przewodnika, który prowadził taką grupę. Wykorzystując okazję, w każdą wolną od służby niedzielę chodziłem do kościoła, co pozwoliło mi poznać Polaków z innych jednostek [...]. Im dłużej wojna trwała, tym częściej Moskale dostawali w skórę, a akcje Polaków rosły. Już nas zaczęli nazywać Polaczkami, zamiast jak dotąd katolikami. W tym czasie zaczęło brakować obuwia, ubrania i, co najważniejsze, zaczęło brakować jedzenia – zamiast kaszy gryczanej podawano soczewicę. Ktoś kiedyś zrobił z niej ciasto, którym zamazał portret cara znajdujący się w jadalni i podpisał: „Chcesz wojować - żrej sam!” Trzy dni prowadzili dochodzenie, lecz sprawcy nie wykryli, przyszło na carze. W tym czasie dużo rozrywki miałem przy przestreliwaniu karabinów, które co parę tygodni zabierano na front, a nam przysyłano nowe, a raczej inne stare graty jak niemieckie, austriackie, włoskie, francuskie i japońskie. Lubilem strzelać lecz na koniec i to mnie znudziło. Pod koniec wojny dostaliśmy japońskie kawaleryjskie karabiny, które świetnie strzelały: na czterysta kroków można było drugim pociskiem trafić pierwszą kulę.

Poprawa naszego bytowania poprawiła się na lepsze gdy 18-letni stali się już żołnierzami zaprzysiężonymi, więc oni już pełnili wszelkie służby a starzy żołnierze przejmowali inne funkcje, które często nic wspólnego ze służbą wojskową nie miały. Ten zestaw ludzi przetrwał już do końca wojny, w którym było młodzików Polaków do 80 w każdej rocie. Od tej chwili życie moje zupełnie się odmieniło. Dawano mi różne uboczne zajęcia, które uwolniły mnie od wieczornych ćwiczeń i innych gimnastyk. Jedyną służbą dla mnie, mułty tatarskiego, było to, że co drugi dzień mieliśmy patrol od 9 do 12 godziny nocą. Sytuację na frontach oceniałem na wielkiej mapie

wywieszanej przed redakcją miejscowej gazety „Karelia”, na której to codziennie były przesuwane małe flagi państw wojujących w całej Europie, więc znałem dokładnie sytuację.

Pod koniec lata 1916 roku odwiedziła mnie pani Jadwiga Dziubińska, która na krótko znalazła się w Petersburgu, i w wolnym czasie przyjechała do Wyborga. Dużo mi opowiadała o obozach jenieckich i o doli jeńców, którzy dziesiątkami marli od tyfusu bez żadnej pomocy lekarskiej, a Komitet Niesienia Pomocy Jeńcom Wojennym nie posiadał na tyle środków aby skutecznie pomagać. Na krótko przed panią Dziubińską gościliśmy kapitana Kochanowskiego, który dostał się do niewoli w Przemyślu, po kapitulacji tej twierdzy. Z Uralu, gdzie go zesłano, w towarzystwie swojego ordynansa przedzierał się do Szwecji, w czym daliśmy mu skuteczną pomoc. On też mówił o nędzy jenieckiej.

W czasie wojny w Rosji brakowało oficerów niższych rangą, toteż czterokrotnie dokonywano naboru wśród szeregowych do szkoły oficerskiej. Po 6 miesiącach otrzymywali oni umundurowanie i jeden miesiąc urlopu. Z kilkudziesięciu zwerbowanych w naszym garnizonie powrócił do nas po szkole tylko jeden, a o innych znajdowaliśmy notatki w gazetach, że zginęli jako bohaterowie. Proponowano również mi takowe wystąpienie nad poziom, lecz kategorycznie odmówiłem przy pomocy głupkowatej miny. Rok 1916 był to rok pod znakiem rewolucji. Wystarczyło bliżej zaobserwować chociażby oddziały żandarmerii aby zauważyć „ostre pogotowie”, a i w łonie jednostek wojskowych stosowano tajne uprzedzające posunięcia. 3 maja 1916 r. zostałem wysłany bezterminowo z bronią za bramę, niby to dla nadzoru okolicy, czy ktoś gdzieś nie robi zdjęć lub obserwacji. Nie otrzymałem jednak zwykłego rozkazu, co wywołało u mnie podejrzenie, że tą drogą chciano mnie na ten czas wyrugować spośród żołnierzy. Ponieważ dzień był piękny i ciepły, czułem się szczęśliwy wśród olbrzymich głazów przeplatanych lichym porostem sosny. Siedząc tak zauważyłem człowieka idącego na teren zakazany. Szedł on w stronę fosy, skąd łatwo można było podłożyć bombę pod składy prochu. Po małym pościgu zmusiłem gościa do pójścia ze mną na moje stanowisko, gdzie pokazałem mu aby siadł i uspokoił się, bo ledwo dychał ze strachu przed błyszczącym bagnietem. Dałem mu papierosa i poprosiłem o wyrzucenie kieszoni, w której był maleńki notesik i nic więcej. Długo walczyłem z sobą co mam zrobić z facetem? Oddać go żandarmom – śmierć niewątpliwa, zataić zajście - może ktoś ma mnie pod obserwacją? Koniec końców machnąłem ręką aby uciekał ile sił w nogach. Dwa razy nie powtarzałem: ruszył z kopyta, że błoto bryzgało i tylko stale się oglądał czy nie mierzą do niego. Siedziałem do zmroku, a kiedy wróciłem do koszar, nikt mnie nie pytał o nic.

Na parę dni przed wystąpieniem Keryńskiego (Aleksander Kiereński, przywódca rewolucji lutowej 1917 roku, od lipca premier rządu, obalonego w listopadzie przez bolszewików, przyp. red.), posłano mnie daleko od miasta do baterii dział na wartę, na czele trzech młodych Ukraińców. Przetrzymano nas tam całe 3 doby bez dostarczenia nawet pożywienia. Uprosiłem u ludzi trochę kartofli które piekliśmy, a wartę sprawowałem sam, bo chłopcy stojąc niemal zasypiali. Kiedy później zrobiłem zestawienie wydarzeń, to okazało się, że w tych dniach właśnie dokonywał się w Petersburgu przewrót. Czwartego dnia rano przysłano nam zmianę warty, więc miałem dzień

wolny, a wieczorem dali mi dobowy dyżur w kuchni. O godzinie 6 wieczorem wstąpiłem na służbę, więc robimy z kucharzami wszystko co należy. O godzinie 9 wieczorem powinien być apel wieczorny, a tu nic się nie dzieje. Słyszymy jakieś szумы, kroki, nawoływania, lecz nie wiemy co one oznaczają, a pójść na wywiad nie wolno, bo można podpaść. Dopiero o północy przyszli żołnierze po wodę gotowaną na herbatę, i dopiero oni opowiedzieli, co zaszło w koszarach o godzinie 9. Apel wieczorny odprawiał zawsze sam feldfebel bez oficerów, a tego dnia przybyli młodzi oficerowie. Żołnierze zebrawi się jak zwykle, odmówili przepisane modlitwy, ale zaintonować hymnu nikt nie chciał. Wtedy oficerowie sięgnęli po rewolwery, strasząc ich użyciem, lecz i to nie zadziało. Kiedy ktoś krzyknął „w różjo”, oficerowie zwiali do domu, a uzbrojona rota udała się do miasta, gdzie trochę postrzelali na „vivat”, po czym powrócili już zupełnie innymi ludźmi.

Następnego dnia już o godzinie 7 rano oficerowie byli w koszarach udekorowani czerwonymi kokardami, a nasz Szyszko szeroką szarfę przepasał przez ramię, której końce sięgały niżej kolan. Na kuchni wytrzymałem do końca jak za starego reżimu, bo rewolucja rewolucją a żarcie być musi. Po zmianie i wypoczynku zabrałem karabin i udałem się na poszukiwanie pewnego urzędnika wojskowego, z którym chciałem zrobić obrachunek, lecz po trzech dniach szukania dałem za wygraną. Pozostał mi Szyszkowski, lecz nad nim długo myślałem, gdyż miał troje małych dzieci, które nie były winne temu że ojciec był łajdakiem. Dzieci sprawiły, że nie przybiłem łajdaka gdzieś do ściany, do czego miałem pełne prawo. Był jeszcze nasz feldfebel lecz nie wart był aby brudzić bagnet lub kulę marnować, wystarczyło parę kopniaków dla głupca. Wojsko przestało być jakąś organizacją, a stało się gromadą chłopstwa, gdzie nie pozostało śladu z dyscypliny. Każdy robił co chciał. Na szczęście była grupa ludzi, którzy samorzutnie podtrzymywali elementarny ład, bo inaczej nie miałby kto jeść ugotować. Pierwsze dni rewolucji w Wyborgu były bezkrwawe, a dopiero cokolwiek później powstała kilkunastoosobowa grupa, która polowała na sztab oficerów. Tych przyprowadzali pojedynczo na most, z którego zrzucano ich do wody pilnując, aby który nie wypłynął na ląd. O ile był ktoś na tyle silny, że dopływał do brzegu, to tam zawsze stał żołnierz, aby śmiałka stuknięciem pałką w czoło odepchnąć na większą wodę. Polacy chociaż dużo mieli do pomszczenia, takiej ohydy nie czynili. Od pierwszych dni rewolucji zaczęły się wylaniać w szeregach armii grupy narodowościowe, co my uczyniliśmy także. Okazało się że mamy wokół Wyborga około 400 Polaków, których postanowiliśmy ująć w karby organizacyjne. Aby temu sprostać należało zebrać pieniądze. Było nas zaledwie paru zaangażowanych chłopaków na czele z panem Bogusławskim, chorążym piechoty. Na małym posiedzeniu postanowiliśmy zwołać walne zebranie na ściśle określony dzień, przy czym każdy z nas dostał rejon, w którym miał powiadomić znajdujących się polskich żołnierzy o czasie i miejscu zebrania. Prócz nas było parę rodzin arystokracji polskiej osiadłej tu na czas wojny, oraz 14 osób polskich mieszkających od dawna na tym terenie. Najważniejszą osobistością był ksiądz, z pochodzenia Szwed, który porzucił zawód inżyniera, w Rzymie przeszedł teologię, a w Krakowie studiował język polski i przyjechał do Wyborga aby służyć tym 14 polskim wiernym.

Zebranie udało się zorganizować. Utworzyliśmy „Towarzystwo Polskie w Wyborgu”. Przewodniczącym został wybrany przez żołnierzy kol. Bogusławski z PPS, do zarządu wszedł ksiądz, ktoś z pań i kilku żywszych żołnierzy. Już na pierwszym posiedzeniu postanowiliśmy urządzić koncert polsko-fiński, aby zdobyć środki, gdyż postanowiliśmy pracować kulturalnie, a zwłaszcza organizować kursy dla analfabetów których mieliśmy ok. 45. Koncert się udał, mieliśmy sporo grosza do dyspozycji. Zrobiłem ogłoszenie w polskich gazetach aby ludzie dobrej woli przesyłali nam książki. Prócz tego kupiliśmy ich trochę w Moskwie. Pojechałem też do Kijowa, gdzie kupiłem sporo książek. Zaprenumerowaliśmy parę pism, więc świetlica była co dzień pełna. Wszystko udało się zrobić. Zebraliśmy ludzi, uzyskaliśmy lokal ku temu, wyszukaliśmy parę nauczycielek i praca ruszyła z miejsca pełna parą. Ogólne zebrania robiliśmy co tydzień, na które przybywali różni ludzie i różnych przekonań politycznych, a wszystkich łączyła „przyszła niepodległa Polska”. Wypuściliśmy polskie paszporty, w które chcieli się zaopatrzyć nawet nie-Polacy. Raz przyszedł do mnie pewien starszy pan i mówił kalecząc polszczyznę, że on jest także Polakiem „i prose was kolego, abyście dali polski pasport”. Okazało się, że był to zwolniony już ze służby generał, a bojąc się rewolucji chciał się zabezpieczyć polskością. Zapytałem czy był Polakiem gdy służył carowi? Ponieważ nie dawał odpowiedzi na moje pytanie, przypomniałem mu, że wtedy mówił po polsku takie wyrazy, których w obecności kobiet nie wypowiada się. Nie, panie generale, nam takich Polaków nie potrzeba i pan nigdy tego paszportu nie dostanie. Dawał 100 rubli lecz i to nie pomogło. Była w Rosji ustawa pozwalająca Polakom awansować do podpułkownika. Gdy chciał iść wyżej, musiał przyjąć prawosławie i stać się Moskalem. Dla takich renegatów nie miałem litości i nigdy jej mieć nie będę.

Należałem do komisji ogrodniczej ustanowionej dla hodowli warzyw, których było brak. Zarabialiśmy tam po 100 rubli miesięcznie, ale kiedy powstało Towarzystwo, rzuciłem to wysokopłatne zajęcie. Nauka jednak prędko przejadła się żołnierzom. Coraz częściej otrzymywałem wiadomość o małej frekwencji w szkole, więc jeździłem do koszar i gnałem żołnierzy do szkoły. Kiedyś usłyszałem od jednego z nich: „co cię to obchodzi, że nie umiem czytać i pisać, czy myślisz że mnie wójtęm zrobią?” Po paru miesiącach musieliśmy zrezygnować z nauczania. Za to na potańcówkach chłopaki cudów dokonywali, aż zazdrość brała.

Szeregi wojska rzędy gwałtownie: jednych zwalniano a drudzy dawali sobie urlopy bezterminowe. Polacy postanowili stworzyć wyodrębniony batalion, co też uczynili, a na tajnym posiedzeniu postanowiono zostawić po dwóch-czterech ludzi w jednostkach rosyjskich, aby wiedzieć zawsze co w trawie piszczy. Między innymi pozostałem i ja na miejscu, śledząc postanowienia Komitetów w stosunku do mniejszości narodowych. W międzyczasie dowiedziałem się, że grupa likwidująca „burżujów” przypomniła sobie byłego kapitana, a obecnie podpułkownika Bremke. Kiedy dowiedziałem się, że następnego dnia o godzinie 9 Bremke ma być zrzucony z mostu, uzbroiłem się i udałem do jego kwatery, znajdującej się za miastem. Kiedy oznajmiłem z czym przychodzę, nie dał wiary. Na koniec dał się jednak zaprowadzić do rodziny Zamoyskich, z którymi miałem znajomość, gdzie przenocował. Rankiem w cywilnym

przebraniu odjechał do Szwecji. Jaki go spotkał los, nie dowiedziałem się od jego rodziny, która od owego wieczora żadnej wiadomości od niego nie miała. Likwidatorzy poszli po Bremkego, którego mimo przeszukania od piwnic po strych nie znaleźli. Nie tyle łączyło mnie z nim to, że miał żonę Polkę, że dzieci jego chętnie przebywały w moim towarzystwie, ale to, że obronił mnie przed sądem polowym i ostrzegał przed takimi, jak porucznik Szyszkowski.

W końcu marca 1918 roku batalion polski wyjechał do Rosji, a nas ponad 50 pozostało w Wyborgu. Później władze sowieckie przekazały cały sprzęt po 300 tys. armii, czerwonej organizacji robotniczej. Tymczasem na północy Finlandii formowała się Biała Armia, której Niemcy przydzielili 75 tysięcy bagnetów. Przejęcie sprzętu przez czerwonych szło nadzwyczaj ślamazarnie. Zarządy składów i magazynów pozostawały nadal w rękach dawnych ludzi, którzy widząc bałagan sprzedawali całe magazyny amunicji i inne rekwizyty wojenne po wysokich cenach agentom białych. Wielu Rosjan, którzy mogli powrócić do domów, zostali aby się dorobić majątku na takiej właśnie wyprzedaży. Tak uczyniło też paru Polaków. Naśmiewali się z tych co nie chcieli lub nie umieli uprawiać podobnego handlu.

Pod koniec kwietnia 1918 roku wojna domowa przybyła pod Wyborg, którego bronili wyłącznie czerwoni robotnicy, bez żadnych z góry określonych planów, a w mieście większość ludności była przeciwko nim. Po oblężeniu, 28 kwietnia Wyborg padł jako ostatnia ostoja czerwonych. Po wyjściu z kryjóWKi zobaczyłem – o dziwo – żołnierzy austriackich, z którymi bezskutecznie chciałem zacząć rozmowę. Okazało się, że byli to Finowie uzbrojeni i umundurowani przez białych, którzy zakupili lub otrzymali w prezencie umundurowanie od Austrii. Po przyjeździe jeszcze kilku znalazł się jeden, który mówił po rosyjsku. Nakazał, aby ujawnił się każdy kto jest w tym domu, co zostało natychmiast wykonane. Więc wyszło 17 Polaków, kilku Rosjan i spora gromada kobiet różnej narodowości. Zostaliśmy otoczeni kordonem i poinformowano nas, że pójdziemy do sztabu, który wyda nam zezwolenie na dalszy pobyt w Wyborgu. Mnie to wszystko jakoś bawiło, lecz Rosjanie przeczuwali najgorszy koniec. Chciałem im wytłumaczyć, że to nic takiego strasznego, że chcą zaprowadzić swój ład więc muszą wiedzieć kto i skąd jest. Tymczasem Finowie prowadzili nas do owego starożytnego zamku. Tam na placu przy kamiennej ścianie zatrzymali wszystkich i zaczęli nas sortować. Kobiety z dziećmi wyłączono i zamknięto w jakimś pokoju, a mężczyźni zaczęli ustawiać pod ścianą nie według wzrostu czy wieku, lecz według przyzwoitości ubrania. Dobrze ubrani w futra i kapelusze pierwsi ustawieni byli na prawym skrzydle, ja zająłem ostatnie miejsce na lewo, bo też wyglądałem na żołnierza-łajzę. Przed każdym z nas postawiony był żołnierz z bronią. W całej tej fińskiej hałastrze nie widziałem żadnej szarży, sami szeregowi, którzy głośno się śmiali z papierosami w ustach. Po chwili dwaj żołnierze podeszli do owego Rosjanina którego pocieszałem i coś mu śmiesznego mówili, lecz on nie mógł ich zrozumieć. Wtedy jeden z nich wypalił mu w piersi, po czym ten upadł na wznak i zaczął nogami wykonywać ruchy chodu, a rękoma szeroko rozłożonymi drał kamienie bruku. Tak długo jak dawał znaki życia, kaci palili papierosy z uśmiechem na twarzy. Po skonaniu pierwszego w ten sam sposób postąpili z kolejnym, podczas gdy reszta stojących patrzyła na to, czekając własnej kolejki. Powstał krzyk przeokropny czekających na śmierć, a jeden Polak nie

wytrzymał i skoczył do wody. Nie daleko odpłynął i zastrzelili go. Później widziałem jak go za nogi wlekli do trupiarni. Jak długo to trwało nie wiem. Stałem się zupełnie drętwy i czułem okropny żal, że matka nigdy się nie dowie co się ze mną stało, a prócz tego widziałem przechodzących ludzi, których znałem w ciągu 34 lat życia, a byli i tacy którzy coś mi mówili. Nareszcie przybył jakiś oficer i pyskował coś po swojemu, co nie czyniło żadnego wrażenia. Dopiero kiedy przeszedł na niemiecki, zrozumiałem go. Wydało mi się, że coś mi zdarło skórę od czubka głowy poprzez całe ciało aż do pięt, po czym stałem się zupełnie trzeźwy. Odpowiedziałem mu, że jesteśmy Polakami na dowód czego pokazałem mu paszport i wyjaśniłem, że nie możemy jechać do domu, gdyż Niemcy nas nie przepuszczą przez swoje okopy. W odpowiedzi wyrwał granat i zagroził, że nas poszarpie co nie wywarło na mnie żadnego wrażenia, gdyż wiedziałem że stoi przed każdym z nas jego żołnierz, więc tego nie uczyni. To się sprawdziło, bo granat włożył za pas, a żołnierzom wydał jakąś komendę, na którą zabrali pozostałych żywych i zamknęli nas w komórce razem z kobietami, a na placu pozostało siedmiu zabitych. W komórce tej przebywaliśmy 48 godzin w głodzie, w nieustannym strachu, gdyż jak doba długa to co pewien czas otwierają się drzwi albo kogoś sadzają nowego, lub też wywołują kogoś, kogo zaraz po chwili przed naszym oknem rozwalają. Dopiero na dzień 1 maja jakaś ręka podała nam po kawałku czerstwego chleba i rozkaz wyjścia. Chłopcy uderzyli w krzyk i z trudem dali sobie wyperswadować, że gdyby nas zabierali na śmierć, to by nam chleba nie dali bo go sami za wiele nie posiadają. Tym razem dobrze kalkulowałem, bo istotnie zabrano nas na manifestację 1-majową. Po wyjściu z cytadeli na most, z trudem wepchano nas między czerwonych, którzy oddali się białym w niewolę. Ani początku pochodu ani końca na całą szerokość mostu nie widać, a to wszystko opasane wojskiem białych. Pochód ten przemaszerował po ulicach Wyborga w takt marsza wojennego. Na koniec wprowadzono nas na obszerny plac, między dwoma koszarami po pułkach strzelców nr 7 i nr 8. Ktoś zaczął wywoływać narodowości i te musiały wystąpić i zająć gdzieś wyznaczone łóża. Podczas tej segregacji podałem hasło naszym aby czekali końca i nie mieszały się z żadną nacją. Nareszcie pozostało nas ponad 20 ludzi na placu i ktoś pyta cośmy za jedni, że jeszcze tu stoimy, więc na to ja wystąpiłem i oznajmiłem, że nas nie wyczytano gdyż jesteśmy Polacy. Acha - odpowiada. Po czym dano nam osobny pokój na mieszkanie, w którym nic absolutnie nie było tylko ściany odrapane i brudne podłogi. Zainteresowałem się piecem więc opatrzyłem go ze wszech stron a na wierzchu znalazłem po ruskich książkę, która stała mi się czymś drogim, więc siadłem na podłogę i wglębiłem się w czytanie bajek. Ile czasu czytałem tę książkę nie wiem, gdyż zapomniałem o wszystkim, aż tu nagle przywraca mnie do świadomości ostry, podniesiony głos w języku niemieckim. Gdy stanąłem na nogach zobaczyłem oficera białych z rewolwerem w ręku, a za nim dwaj żołnierze z bronią gotową do strzału. Zwracam się z pytaniem co się stało, na co oficer mówi mi, że przez to okno (wychodziło na ulicę) ktoś przyjął podaną paczkę, którą chce widzieć w ciągu 5 minut albo wszystkich wystrzela. Zwracam się do chłopców i mówię im, co nas spotka o ile paczki nie znajdą, lecz ci jak zakłęci milczą, żaden nic. Naraz salwa ognia, robi się ciemno od dymu i kurzu z tynku rozbitego. Ale dopiero po drugiej próbnej salwie jakiś cholerny

kresowiak odzywa się, że on zna tego, który przyjął paczkę. Zaraz to oznajmiłem oficerowi, więc kazał się prowadzić do odbiorcy. Okazało się że odbiorca był z innego pomieszczenia, jakiś Rosjanin, który paczkę pokazał, a że zawierała trochę jedzenia a nie jakąś broń, więc cała heca na tym się skończyła. Po paru dniach władze wojskowe przeprowadziły dochodzenia w wyniku których były dwie drogi: wolność lub śmierć. Polakom przypadło to pierwsze, lecz od tego czasu co dzień o godzinie 6 rano słychać było grę kulomiotów, pod ogniem których ginęło według danych ludzi wtajemniczonych po 300 czerwonych. W dniu zajęcia Wyborga biali w ciągu 3 godzin wymordowali 1500 ludzi, w czym były kobiety i dzieci. Jeden z naszych, kolega Korno z Warszawy, znalazł się w dużej grupie cywilów prowadzonych na miejsce kaźni, więc wiedząc co go czeka, rzucił się do ucieczki w stronę przedmieścia. Pomimo gradu postrzałów za nim kul uciekł i powrócił później ze mną do Warszawy. Mimo to, po zwolnieniu nas musieliśmy zająć się pogrzebem 21 Polaków i pochować poległych w dniu masakry. Mimo usilnych starań nie zdaliśmy się od białych uzyskać tyle desek, aby każdemu z poległych dać własną trumnę. Dano nam zezwolenie na uroczysty pogrzeb, na który przybył adiutant Mannerheima, dowodzącego wojskiem białych. Wygłosił przemówienie nad grobem, w którym wyraził żal za zaszłą pomyłkę i złożył wiązankę kwiatów. Pogrzeb wypadł w niedzielę. Na czele szedł orszak kościelny, za nim wozy z trumnami, kolumna Polonii, a na końcu cizba miejscowej ludności licząca ok. 1500 osób. Chociaż był to początek maja, jak na Finlandię pora dość wczesna, to jednak tak wiele ludzi przyszło z kwiatami, którymi ustawione trumny nad grobem były całkowicie pokryte. Najżałośniejsza scena odegrała się, gdy zdjęto wieka z trumien. Jak i kiedy nasi chłopcy zaskarbili sobie wśród tubylców tyle miłości i szacunku, nie wiem. Widziałem tam sceny takie, o których na obczyźnie nikt śnić nie mógł. Starzy Finowie klęcząc przy trumnie Polaka rwali garściami włosy przy niesamowitym krzyku, przy innej grono młodych kobiet, a jeszcze przy innej całe rodziny do dzieci małych włącznie. Widziałem dużo pogrzebów, lecz czegoś podobnego w życiu nie spotkałem. To nie był zwykły hołd dla zmarłych – to było zawarcie jakiegoś nieplanowanego sojuszu między dwoma narodami. Po paru godzinach na cmentarzu wyborskim wyrósł niewidziany dotąd duży grób na którym wznosił się wysoki polski krzyż. Tu pozostał najmilszy z miłych młodzieńki Zalewski z Warszawy, któremu pięć kul z kulomiotu przebiło piękne czoło. Nazwisko Bolesława Zalewskiego istnieje na liście zamordowanych Polaków w Wyborgu, był on sekretarzem kancelarii artylerii, miał 25 lat.

Po pogrzebie kolegów zakończyliśmy życie koleżeńskie, a każdy na własną rękę szukał jakiejś pracy, boć nastaly dni głodowe. Zaciągnięto nas na listy stałych mieszkańców miasta, przydzielając każdemu nikłą rację żywnościową. Jedynie końskie mięso było tanie, więc nadrabiano koniną braki innych artykułów. Mieliśmy wcześniej zapasy żywności, lecz te w czasie naszego aresztowania zostały zrabowane. Moje mieszkanie po powrocie nic absolutnie nie zawierało, prócz fotografii Józefa Piłsudskiego na ścianie, która pozostała nie uszkodzona. Na domiar złego władze zrobiły z nas zakładników, którzy mieli odpowiadać życiem za zabicie fińskiego kolejarza w Petersburgu, i to z nadwyżką dwóch za jednego. Tak przeżyliśmy miesiąc maj 1918 roku w Wyborgu, mając po 350 g chleba tygodniowo.

Helsinki, Lipawa

Pod koniec tego miesiąca przysłała do Wyborga wiadomość, że dozwolony jest wyjazd 100 osób z Wyborga do kraju drogą morską, ze wskazaniem że pierwszeństwo mają kobiety, których mieliśmy sporo, a były to żony żołnierzy poległych w ciągu całej wojny. Okazało się później, że powstał jakiś komitet reemigracyjny, za którego staraniem pozwolono na wyjazd 300 ludziom: po 100 osób z Helsingfors (ob. Helsinki, przyp. red.), Terijoki, i Wyborga. W ostatnim dniu maja znaleźliśmy się w Helsingforsie, gdzie nas załadowano na statek sanitarny, który nas przewiózł do Lipawy (miasto portowe w Kurlandii, obecnie na Łotwie, oryg. Liepāja, przyp. red.). Przed wejściem na pokład każda z trzech grup wybrała po 2 delegatów, których niemiecka komenda w Helsingfors udekorowała w szerokie opaski na rękaw lewy z dużą okrągłą pieczęcią wojskową, co oznaczało przelożonych grup. Dla grupy wyborskiej ustanowiono dr. Sikorskiego z Lublina i mnie, a innych już nie pamiętam, prócz inżyniera Kopytowskiego z Warszawy. Cała ta grupa składała się przeważnie z części kobiet i dzieci, których bywało i po troje u matki wdowy. Na statek załadowano nas przed południem a dobiliśmy do brzegu kawał po północy następnego dnia. Trzymano nas na pokładzie bez pozwolenia wyjścia na ląd do czasu, aż zajechała taksówka, z której wysiedli oficer niemiecki i cywil, który się mianował wysłannikiem Rady Regencyjnej z Warszawy do spraw reemigrantów. Między innymi oznajmił, że panowie delegaci mogą zamieszkać w hotelach, a pospólstwo pójdzie do baraków, które są przygotowane przez Niemców na nasze właśnie przyjęcie. Po takim przywitaniu wypuszczono nas na ląd, gdzie pan delegat oznajmił, że Niemcy nas wymyjają, zaszczepią ospę i będziemy mogli jechać już do swych domów. Na koniec dodał, że otworzył biuro w pobliżu obozu, do którego każdy się zgłosi po jakieś zezwolenie, na które Niemcy wydadzą karty przejazdowe na kolej, a ta drobnostka będzie kosztować jedyne 64 marki niemieckie. Miałem prawo pójścia do hotelu, lecz sama ciekawość: „jak to jest w baraku” zmusiła mnie wprost do tego, że poszedłem do obozu, a nie hotelu. Zajechały 2 samochody po bagaże, a my udaliśmy się za przewodnikiem Niemcem do obozu. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że barak rzeczywiście był możliwie czysty. Dużo słomy na legowiska i 2 starszych już gości – w mundurze piechoty z marynarki. Na widok pieczęci na mojej opasce, ręce podnieśli do czoła, czyli salutowali jej. Po kwadransie już mam znajomość z Niemcami, a za pół godziny idę z nimi na piwo do miasta, nie czekając na niemiecką kolację w obozie. Gdyśmy przechodzili ulicą koło piekarni, stanąłem urzeczony na widok olbrzymiego obwarzanka w oknie wystawowym. Cały czas pobytu w Wyborgu mówiono nam, że po stronie niemieckiej brak chleba, a tu takie luksusowe cuda. Zapłaciłem za piwo 20 „ostrubli”, za to wolność miałem nieograniczoną. Wychodziłem z obozu mimo warty kiedy chciałem, a co ważniejsze, mogłem wyprowadzać za bramę każdego, z czego najwięcej korzystały kobiety z dziećmi, dla których mogły kupować mleko i inne artykuły żywnościowe. Co najważniejsze, dowiedziałem się, że przed nami był już transport reemigrantów, których Niemcy w ciągu 8 dni posłali do kraju, mimo że nie było żadnego wysłannika Rady Regencyjnej. O ile na początku ucieszyłem się, że ureszcie mam opiekę

nad sobą już polską, co mnie w pewną pychę wbijało, to jeszcze tam w Lipawie doznałem przykrego rozczarowania. Drugiego dnia czy trzeciego – tego dobrze nie pamiętam, otrzymałem zaproszenie od p. Delegata na oznaczoną godzinę wieczorową [...]. W trakcie spotkania ktoś zapytał, kiedy wyjeżdżamy do kraju? Czy delegat nie zrozumiał pytania czy też z rozmysłem zagadał o czym innym, bo zamiast określić czas wyjazdu, dał jak i czym odjedziemy. Panowie pojedziecie 3 klasą bardzo wygodnie bo Niemcy mają te klasy bardzo czyste. Dr Sikorski odpowiedział na to: nam rozchodzi się o matki z dziećmi, które długo nie mogą pozostawać w takich warunkach, a my to możemy tu czekać i dłużej bo jak widać jest co jeść. Pan delegat i na ten wywód nie wypowiedział się uprost, lecz drogą okólną bo powiedział: „Ach tam chłtam i łajdactwo, to gałgaństwo pojedzie końskimi, świńskimi, cielęcymi wagonami”. Krzesło ze mną po tych słowach zaczęło się poruszać i czułem, że mną podrzuca do góry. Nie uszło to uwagi dr. Sikorskiego, który dał mi znać aby wyjść z nim do przedpokoju, gdzie zwrócił mi uwagę na to, że niebezpiecznie jest wszczynać dyskusje z tego pokroju osobnikiem, który zdolny jest wyrządzić bliźniemu największą krzywdę. Uznałem za słuszne twierdzenie dr. Sikorskiego, więc udałem obojętnego na wszystko i tak powróciłem do baraku. Całą noc przeżuwałem wypowiedź pana delegata i przyszedłem do wniosku, że może ojczyzna rada by była, gdyby żaden z nas nigdy nie powrócił do niej, gdyż jej niepotrzebny chłtam, gałgaństwo i łajdactwo. Nic słówka nikomu nie rzekłem o tym w obozie, cierpiałem przeto podwójnie. Piątego dnia spotkałem na ulicy delegata z oficerem, zatrzymałem się i pytam: kiedy jedziemy do domu? Zamiast odpowiedzi pyta mnie gdzie my mieszkamy? Tego mi było za dużo! Zabrałem tych, którzy wpłacili w biurze delegata żądane opłaty, i udałem się do owego biura w którym na szczęście już urzędował sam delegat, od którego jasno i kategorycznie zażądałem zwrotu ludziom ich wpłat. Po dość nieprzyjemnej rozmowie przyszedł do przekonania, że lepiej jest zwrócić „wzięte” niż dopuścić do skandalu. Na robione mu wymówki, że niedbale prowadzi naszą sprawę miał na swe usprawiedliwienie nieświadomość sprawy, na co odrzekłem mu krótko: „szewc nie szyje ubrania”. Po powrocie do obozu oznajmiłem Niemcom, że zabieram ludzi do Komendy Placu, aby prosić o zezwolenie na wyjazd. Niemal całą kupą zaszedłem przed siedzibę Komendy, gdzie kazałem czekać grzecznie, a sam w towarzystwie trzech kolegów weszliśmy do środka do urzędników, gdzie na wstępie przyjęła nas młoda kobieta pytaniem: „Macie zezwolenie od waszego delegata?” W odpowiedzi powiedziałem jej, że nie znamy żadnego polskiego delegata, a tylko jedną Komendę Placu w Lipawie. Niemcy się głośno zaśmiali i przyrzekli nam, że dziś jeszcze pojedziemy do domu. O godzinie 9 wieczorem 5 czerwca 1918 roku wszyscy mieszkańcy obozu wyjechali w dalszą powrotną drogę do swych pieleszy, zostawiając delegata Rady Regencyjnej i delegatów grupowych w Lipawie. Pociągiem 3 klasy dobiliśmy do Grodna, a za 16 godzin do Białegostoku, skąd po odczekaniu 18 godzin wyruszyliśmy do Warszawy. 11 czerwca 1918 roku byłem po przeszło siedmiu latach między swoimi.

Najbardziej ogólnym wnioskiem na temat Rosji, jaki wypływa z lektury wspomnień Władysława Wilczyńskiego, jest geograficzna (także w znaczeniu cywilizacyjnym) odrębność Rosji. Ogrom przestrzeni zawierającej całą gamę klimatów, różnorodnych ludów i języków oraz zasobów, przytłacza osoby wychowane na terenach rdzennie polskich, przybywające z rozdrobnionego, zróżnicowanego i podzielonego Zachodu. W przeciwieństwie do zatomizowanej, indywidualistycznej i wrażliwej na tendencje odśrodkowe Europy, Ruś od wieków cechowała skłonność do jednolitości, sprawiającej wrażenie faktu naturalnego, który wynikać miałby z siły przyciągającej zamieszkujące tam ludy, jak sugerował już w okresie międzywojennym Piotr Sawicki (Савицкий 1997, s. 103). Ten ideolog rosyjskiego eurazjyzmu podkreślał także wielkie pozytywne znaczenie etatyzmu, co wydają się potwierdzać obserwacje Władysława Wilczyńskiego. Sytuacje, w których cokolwiek pozostaje poza kontrolą państwa, okazują się tam niedopuszczalne. Ponieważ pełna kontrola nie wszędzie jest możliwa, zachowywane muszą być wszelkie jej pozory. Mimo prawie dwuwiekowego oddziaływania Zachodu, europejskie wpływy kulturowe ograniczały się do elit. Jeśli chodzi o resztę społeczeństwa, na typowo wschodnie stosunki społeczne nałożyła się nie tyle kultura europejska, co jej ekscentryczna, skażona recepcja (wyrażenie Wadima Cymburskiego), którą Oswald Spengler miał zwyczaj traktować jako pseudomorfozę (Цымбурский 1993, s. 15).

We wspomnieniach Władysława Wilczyńskiego nie ma ani śladu propagowanej przez dawnych i współczesnych ideologów rosyjskich, żywej pamięci o Świętej Rusi, państwie wybranym przez Opatrzność - spadkobiercy uniwersalnego imperium, ani o Moskwie jako Trzecim Rzymie lub „nowym Jeruzalem”. A to przecież ta pamięć miała być podstawą rządów i polityki ideokratycznej oraz misjonizmu, tak podkreślanego jeszcze dzisiaj przez m.in. Aleksandra Dugina (Дугин 2000, s. 107-110). Można stwierdzić, że w obrazie Rosji, jaki uzyskał Władysław Wilczyński nie ma nic wzniosłego ani szlachetnego. Brakuje w nim poświęcenia dla służby dobru wspólnemu, jakie mogłoby towarzyszyć etatyzmowi. Jest za to lud głęboko wyobcowany z życia społecznego i polityki, nienawidzący wszelkiej władzy. A z drugiej strony cyniczny pragmatyzm rządzących, daleko idące nieliczenie się z ludźmi („mięso armatnie”), zupełny brak szacunku dla jednostki ludzkiej, ucisk duchowy, nadużywanie przymusu. Cechą nadrzędną Rosji bez względu na czas i ustrój jest właśnie ten cyniczny pragmatyzm rządzących, który polega na ukrywaniu rzeczywistych celów pod przykrywką wielkich idei. A cele te sprowadzają się od wieków do jednego: wzbogacić się kosztem wyzysku większości. To one przyświecały wysokim oficerom carskiej armii jak i Leninowi oraz jego towarzyszom i następcom. Nie inaczej jest zapewne w upadającym imperium putinowskim (Rojek 2014). Jeśli chodzi o stosunek Rosjan do Polaków, Władysław Wilczyński ukazuje je tak, jak gdyby na świadomość Rosjan największy wpływ miały antypolskie i szowinistyczne poglądy Mikołaja

Karamzina i jego następców, takich jak np. Iwan Dusiński i Mikołaj Danilewski. Warto przypomnieć że w dziełach tych wpływowych ideologów przedstawieni jesteśmy nie jako niezłomni bojownicy wolności i wrogowie autorytarnej władzy, ale przede wszystkim jako renegaci i zdrajcy Słowiańszczyzny.

Literatura

Rojek, P., 2014, *Przekleństwo imperium, Źródła rosyjskiego zachowania*, Wydawnictwo M, Kraków.

Дугин, А., 2000, *Основы геополитики*, Арктогея, Москва.

Савицкий, П.Н., 1997, *Континент Евразия*, Аграф, Москва.

Цымбурский, В.Л., 1993, *Остров Россия. Перспективы российской геополитики*, Полис, 5, s. 6-23.